

## Prolog

### **Korona z Kredy**

Narodziła się w mrokach Okrągłego Morza; z początku była miękka, dryfującą istotą, niesioną tam i z powrotem przez kolejne fale. Wyrosła jej muszla, choć w tym falującym, wirującym świecie żyły wielkie stwory, które i tak w jednej chwili mogłyby ją zgnieść. Mimo to przetrwała. Jej delikatne życie mogłoby trwać tak w nieskończoność, póki by go nie przerwały niebezpieczeństwa przyboju lub inne pływające stwory – gdyby nie kałuża.

Kałuża była ciepła, położona wysoko na plaży, zasilana rzadkimi, nadlatującymi od Osi sztormami; istota żywiła się w niej stworzeniami jeszcze mniejszymi od siebie, i rosła, aż stała się królem. I pewnie stałaby się jeszcze większa, gdyby nie gorące lato, kiedy to woda wyparowała w słonecznym żarze.

I tak mała istota umarła, ale jej skorupka przetrwała, niosąc w sobie załączek czegoś ostrego. Przy kolejnym przypiływie fala zmyła ją w przybrzeżne wody, gdzie utknęła, przetaczając się tam i z powrotem wśród kamieni i innych pozostałości po sztormach.

Morze falowało wiekami, aż wyschło i cofnęło się z lądu, a kolczasta muszla dawno martwej istoty zapadała się w warstwach muszli innych drobnych stworzonek, które nie przetrwały. I tam leżała, z powoli rosnącym

wewnątrz ostrym jądrem, aż do dnia, kiedy znalazł ją pasterz, pilnujący swych stad na wzgórzach, które teraz nazywano Kredą.

Dziwny przedmiot przyciągnął jego wzrok, więc schylił się, uniósł go i obejrzał ze wszystkich stron. Zaokrąglony, ale nie całkiem, i pasował do wnętrza dłoni. Kształt wydawał się zbyt regularny jak na krzemień, choć miał krzemień w sercu. Powierzchnia była szara, jak w kamieniu, ale z sugestią złota pod szarością. Na powierzchni wyczuwał pięć wyraźnych grzbietów w równych odstępach, niemal jak paski, sięgających od płaskiej podstawy po wierzchołek. Widział już takie rzeczy, ale ta była jakaś inna – całkiem jakby sama wskoczyła mu w rękę.

Dziwne znalezisko przetoczyło się, kiedy pasterz próbował obrócić je w dłoni, i miał wrażenie, że próbuje coś mu powiedzieć. To głupi pomysł, sam o tym wiedział, a jeszcze nie był na piwie, lecz ten niezwykle obiekt zdawał się wypełniać cały jego świat. Po chwili pasterz przeklął własną głupotę – ale mimo to zachował kamyk i zabrał ze sobą, by pokazać kumplom w pubie.

– Patrzcie – powiedział. – Wygląda jak korona.

Oczywiście, tamci wybuchnęli śmiechem.

– Korona? – zawołali. – A po co ci korona? Nie jesteś żadnym królem, Danielu Obolały.

Ale pasterz zabrał swą zdobycz do domu i ostrożnie ułożył na półce w kuchni, gdzie trzymał rzeczy, które lubił.

I tam, w końcu, została zapomniana i utracona dla historii.

Ale nie dla Obolałych, którzy przekazywali ją sobie z pokolenia na pokolenie.

**Terry Pratchett**

***Pasterska korona***

*(Shepherd's Crown)*

Esmeraldzie Weatherwax

– uważaj na siebie.

## Rozdział 1

### **Gdzie wiatr powieje**

To był jeden z tych dni, które człowiek zachowuje w pamięci na długo. Wysoko na łąkach, powyżej farmy rodziców, Tiffany Obolała czuła się tak, jakby mogła sięgnąć wzrokiem na sam koniec świata. Powietrze było czyste jak kryształ, a w rześkim wietrze zeschnięte jesienne liście wirowały wokół jesionów, gdy te klekotały gałęziami, by zrobić miejsce dla nowych wiosennych pąków.

Zawsze się zastanawiała, czemu rosną tu drzewa. Babcia Obolała powiedziała kiedyś, że tędy prowadziły dawne trakty, wytyczone w czasach, kiedy dolina poniżej była bagnem. Babcia mówiła, że właśnie dlatego ludzie stawiali swoje domy tutaj, na górze – dalej od mokradeł i od innych ludzi, którzy chcieliby uprowadzić ich stada.

Może czuli się bezpiecznie w pobliżu starych kamiennych kręgów, jakie tu znajdowali. A może to właśnie oni je wznieśli? Nikt nie wiedział na pewno, skąd się wzięły... ale chociaż tak naprawdę w to nie wierzyli, wszyscy byli przekonani, że takie rzeczy lepiej zostawić w spokoju, na wszelki wypadek. W końcu jeśli nawet taki krąg ukrywał jakieś sekrety czy skarby, to jaki z nich

pożytek, gdy chodzi o owce? I chociaż wiele kamieni już upadło, może jednak osoba pod nimi pogrzebana nie chciałaby, żeby ktoś ją wykopał? Przecież to, że człowiek jest martwy, nie oznacza jeszcze, że nie może się rozgniewać. O nie...

Nawet Tiffany wykorzystwała kiedyś pewne konkretne kamienie, żeby przejść przez bramę do Krainy Baśni – krainy całkiem innej niż opisywana w *Xiędze Baśniowych Opowieści dla Grzecznych Dzieci*. Wiedziała więc, że niebezpieczeństwa są realne.

Dzisiaj, z jakiejś przyczyny, naszła ją ochota, by znowu pójść do tych kamieni. Jak każda rozsądna czarownica, nosiła mocne buty, które mogły przejść po wszystkim – dobre, praktyczne buty. Jednak nie przeszkadzały jej wyczuwać krainy, słyszeć, co do niej mówi. Zaczęło się od lekkiego łaskotania, swędzenia przesuwanego się na stopy i żądającego, by je usłyszeć, ponaglącego, by pomaszerować na hale, odwiedzić krąg – mimo że akurat wciskała rękę w owczy zadek, by wyleczyć paskudny przypadek kolki. Czemu miałyby iść do kamieni, Tiffany nie wiedziała, ale żadna czarownica nie ignorowała czegoś, co mogło być wezwaniem. Poza tym kręgi stały tam jako bariera. Chroniły jej krainę – chroniły przed tym, co mogło przez nie przejść...

Wyruszyła natychmiast, z nieco zmarszczonym czołem. Jednak na samym szczycie Kredy wszystko wyglądało jak należy. Zawsze tak było. Nawet dzisiaj.

Ale czy na pewno? Ku zaskoczeniu Tiffany, nie była jedyną, którą tego dnia coś przyciągnęło do kręgu. Bo kiedy rozglądała się w tym rześkim, czystym powietrzu i słuchała wiatru, rozpoznała błysk rudych włosów, plamę

tatuowanej niebieskiej skóry – i usłyszała mruknięcie „Łojzicku”, gdy jakiś szczególnie rozbawiony kłęb liści zaczepił się na hełmie z króliczej czaszki.

– Kelda sama mie tu psysła, co bym miał te kamyczki na łoku –  
oznajmił Rob Rozbój ze swego punktu obserwacyjnego na sterczącym z ziemi  
kawałku skały.

Czujnie omiatał wzrokiem okolice, jakby wypatrywał rabusiów.  
Skądkolwiek by przychodzili. Zwłaszcza gdyby nadeszli przez krąg.

– I jakby który z tych paskudów chciał se wrócić i jesce roz próbować,  
będziemy gotowi, wis – dodał z nadzieją w głosie. – Psyjmiemy ich z nasom  
najlepsom feegłowom gościnnosciom. – Wyprostował swoją chudą sylwetkę  
na pełne sześć cali i pogroził niewidzialnemu wrogowi mieczem.

Efekt, jak uznała Tiffany już nie po raz pierwszy, był dość imponujący.

– Ci starożytni rabusie od dawna są martwi – powiedziała, zanim  
zdażyła się powstrzymać, chociaż jej Drugie Myśli podpowiadały, by słuchała  
uważnie. Jeśli Jeannie, żona Roba i kelda klanu Feegłów, widziała, że  
nadchodzą kłopoty, to znaczy, że kłopoty są blisko.

– Martwi? Ano, takoz i my som – odparł Rob.\*)

=====

\*) Feeglowie co do jednego wierzyli, że muszą być martwi, skoro świat, w  
którym teraz żyją, jest tak wspaniały i tak pełen licznych okazji do kradzieży,  
bijatyk i pijatyk. Kraina w sam raz odpowiednia dla poległych bohaterów.

=====

– Niestety... – Tiffany westchnęła. – W tych dawnych czasach  
śmiertelnicy zwyczajnie umierali. Nie wracali, jak wam się to chyba udaje.

– By wracali, jakby mieli nasom broze.

– Co to takiego?

– No wis, broza to jakby tako łowsianka, ino ze syćkim w środku i jesce kapeckom brandy albo maści do łowiecek łod twojej starej babci.

Tiffany roześmiała się, ale niepokój jej nie opuszczał. Muszę porozmawiać z Jeannie, pomyślała. Muszę się dowiedzieć, czemu ona i moje buty czują to samo.